

RUMUNIA DZISIAJ



Matei Vişniec

SPRZEDAWCA
POCZĄTKÓW POWIEŚCI

universitas

SPRZEDAWCA
POCZĄTKÓW POWIEŚCI



R U M U N I A D Z I S I A J

Seria pod redakcją Jakuba Kornhausera prezentuje najciekawsze, najgłośniejsze oraz najszerzej dyskutowane we współczesnej Rumunii książki przełożone przez najwybitniejszych tłumaczy i znawców rumuńskiej kultury. Tomy ukazujące się w serii mówią o tym pełnym przeciwieństw kraju w sposób niebanalny, artystycznie ciekawy i odważny.

W serii:

Lucian Boia, *Jak zrumunizowała się Rumunia*

Nora Iuga, *Dama z młodzieńcem*

Adrian Schiop, *Żołnierze. Opowieść z Ferentari*

Gabriel Liiceanu, *O granicy*

Matei Vișniec, *Sprzedawca początków powieści*

Matei Vişniec

SPRZEDAWCA
POCZĄTKÓW POWIEŚCI

przekład
Joanna Kornaś-Warwas

Kraków

Tytuł oryginału: Matei Vișniec, *Negustorul de începuturi de roman*

© 2013, 2014 by Editura POLIROM

© Copyright for the Polish translation by Joanna Kornaś-Warwas and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2018

Tłumaczenie zrealizowane częściowo w ramach programu „Warsztaty przekładowe FILIT” w Memorialul Ipotești

© Copyright for the Polish edition by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2018

ISBN 97883-242-3436-3

e-ISBN 97883-242-3378-6

TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Katarzyna Kościuszko-Dobosz

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

Publikacja dofinansowana przez Rumuński Instytut Kultury

This title has been published with the support of the Romanian Cultural Institute

NATIONAL
BOOK
CENTRE  ROMANIAN
CULTURAL
INSTITUTE

www.universitas.com.pl

1.

– Pierwsze zdanie powieści powinno zawierać w sobie coś z energii nieświadomego krzyku wywołującego lawinę... To musi być iskra, która wyzwala reakcję łańcuchową... Oto dlaczego pierwsze zdanie nigdy nie jest niewinne. Zawiera w sobie, w załączku, całą opowieść, cały konflikt. Pierwsze zdanie jest jak zarodek wszelkich możliwości, jak szczęśliwy plemnik, jeśli wolno mi użyć takiego porównania... Ha, ha...

Słuchałem tych słów poniekąd z grzeczności, ale tak naprawdę coś innego zaprzętało moje myśli. Miałem w nocy dziwny sen, niemal koszmar, w którym sporządzałem listę wielkich problemów ludzkości (kryzysy, wojny, epidemie, katastrofy), lecz nie potrafiłem ustalić między nimi właściwej hierarchii i wtedy przenosiłem je stale z jednego miejsca na drugie, problem numer jeden przechodził na miejsce czwarte, ten z piątego na drugie i tak dalej. Potem, przed południem, odebrałem telefon z Bukaresztu, kolega po fachu prosił mnie, bym podpisał petycję w sprawie ratowania Domu Monteoru. Wszystko to wprawiło mnie w dziwny stan oderwania od rzeczywistości. W przedłużaniu tych niepokojów przeszkodził mi w samo południe gwałtowny deszcz, zniekształcający drzewa na Polach Elizejskich, deszcz nasłany najwidoczniej przez nieprzyjazny los pragnący zakłócić mi dzień, w którym miałem otrzymać cenną nagrodę literacką.

– Pierwsze słowa powieści są jak krzyk majtka, który obserwuje ocean z bocianiego gniazda i w pewnym momencie oznajmia, że na horyzoncie widać łąd... Wiem, że te twierdzenia mogą wydawać się nieco patetyczne, a nawet groteskowe. A jednak, jeśli poświęcić im odrobinę uwagi, zauważy pan,

jak bardzo są trafne... Dobry początek powieści jest albo metafizyczną zapadką, albo niczym.

Kto przedstawił mi tego człowieka? Jak to się stało, że przykleił się do mnie, tam, w tamtym tajemniczym ogrodzie, gdzie ostatecznie ceremonia wręczenia drugorzędnych nagród odbyła się pod dość szczodrym słońcem, które wyłoniło się spomiędzy chmur w ostatniej chwili? Trawniki, krzewy róż, alejki wysypane drobnym żwirem były jeszcze nasiąknięte wodą, ale nikt nie wydawał się onieśmielony tym wilgotnym i rześkim wszechświatem. Wszyscy ci pisarze i krytycy, redaktorzy czasopism i agenci literaccy wyglądali tak, jakby wyszli właśnie z nagradzanych tam książek, i wydawali mi się raczej postaciami fikcyjnymi. Patrzyłem na nich, skądinąd zdumiony, jak korzystają w pełni z owego *garden party*, jak przemieszczają się gorączkowo, biegając od stolika do stolika, od japońskich specjalów po maghrebskie, od piramid owoców do półmisek ze słodyczami, ale przede wszystkim jak korzystają z szampana, który lał się bez ograniczeń, i jak wymieniają między sobą zakodowane frazy i słowa, którym towarzyszą gesty i spojrzenia równie pełne znaczeń i subtelnych przekazów.

Ja sam miałem kieliszek szampana w ręku i siłem się na uśmiech, ilekroć ktoś podchodził do mnie, aby powiedzieć mi, jak bardzo zasłużyłem sobie, wreszcie, na uznanie jury. To nie była ważna nagroda, nie znalazłem się nawet na szczycie listy, jednakże zrobiłem ważny krok w stronę większej *widoczności*.

– Palec, który pociąga za spust, oto co właściwie znaczy udane, intensywne pierwsze zdanie. *Prawdziwy* początek powieści jest wybuchem wewnętrznego pożaru... Proszę nie zapominać jednak, że zdarzają się czasem pierwsze zdania samobójce... Niech pan sobie wyobrazi początek powieści o wielkiej sile, ale który ma trajektorię bumerangu. Co on wtedy robi? Otóż powraca w pewnej chwili i uderza pana z całej siły w twarz. Ale pan dobrze wie, że autor, autentyczny pisarz, gdy zaczyna pisać, liczy się z pewnym ryzykiem... Także z tym, że może skończyć pod zwaliskiem swojej konstrukcji...

Człowiek, który plótł mi te słowa, zdawał się nie mieć twarzy, jego rysy drżały przede mną i nie mogłem ich uchwycić. Przez chwilę był bardziej głosem. Zwracał się tylko do mnie czy rozbrzmiewał w uszach wszystkich tam zgromadzonych, około dwustu istot dotkniętych nieuleczalnym wirusem literatury? Moja uwaga została podzielona na dwieście małych kierunków, gdyż ci ludzie interesowali mnie, przynależeli do tak zwanej paryskiej śmietanki artystycznej, absolutnie wszyscy byli bardziej *wtajemniczeni* ode mnie („wtajemniczeni w co?” „we wszystko”) i *eksponowali siebie* w tym wilgotnym wszechświecie z nieskończeniem większą naturalnością niż ja.

Gdybym mógł zebrać myśli w jeden strumień, przemówiłbym do niego następującymi *głosami* przyklejonymi do mojej błony bębenkowej: nie *widzisz*, że teraz moim największym zmartwieniem jest moja prawa ręka? Z lewą sobie poradziłem, trzymam w niej kieliszek szampana, ale prawa nie znajduje żadnego zastosowania, żadnego oparcia, żadnego sensu, nie udaje mi się nadać jej żadnej naturalnej pozy.

– Mógłbym opowiedzieć szerzej o tym wszystkim, jeśli znajdziemy trochę czasu.

– Pewnie. Czas nie stanowi problemu.

– W każdym razie pierwsze zdanie powieści musi być czymś w rodzaju lokomotywy zdolnej pociągnąć za sobą cały szereg słów, zwrotów, stron i rozdziałów, cały orszak znaków i cały łańcuch zdarzeń i metafor. („A, *bonjour* i gratulacje, właśnie czytam pana książkę”). Pierwsze zdanie jest tak naprawdę eksplozją... („Brawo. Właściwie to kto jest pańskim wydawcą?”) Chociaż czasami ta eksplozja może się opóźnić. Ale, prędzej czy później, musi powołać do życia jakiś świat. Niewielu autorów jest świadomych szczególnej natury tego pierwszego zdania, faktu, że pełni ono funkcję prawdziwego *Big Bang*..

Zadowoleni z siebie, żądni uwagi, wszyscy bohaterowie tego społecznego i literackiego spektaklu byli nieustannie podekscytowani. Grupy po trzy, cztery, pięć osób tworzyły się z prędkością ruchów Browna, i równie szybko się rozpadały,

ponieważ każdy uczestnik gry pragnął doświadczyć możliwie jak największej kombinacji.

Zawsze byłem dobrym obserwatorem świata, wnikliwym i cierpliwym. Jeśli pod koniec życia miałbym dostać jakieś wyróżnienie, powinni mnie nagrodzić za sumiennosc, z jaką patrzyłem na *wszystko*, w pierwszej kolejności na ludzi. Tak, to przede wszystkim ludzie zdawali mi się godni *rozkoszowania* się nimi, bez względu na to, czy byli to anonimowi przechodnie, znajomi, celebryci czy drobni aktorzy rytuałów miejskich.

Ludzie ze swoimi wewnętrznymi sprzecznościami, jawnymi lub skrywanymi, świadomymi lub nieświadomymi, byli moją pasją. Człowieczy balet na ulicach, na dworcach, w supermarketach, na placach i we wszystkich miejscach zdolnych przyciągnąć więcej niż jedną osobę, wydawał mi się od zawsze spektaklem o ogromnej sile, komicznym przez wymiar nieprzewidywalności, tragicznym przez swoją bezużyteczność, poetyckim przez swój nieład.

– Niewielu pisarzy wie natomiast, że te pierwsze kluczowe zdania można kupić – zakończył człowiek o drżących ryśach. To jest właściwie to, co chciałem panu powiedzieć. Nasza agencja *prokuruje* początki powieści od ponad trzystu lat. Zostawiam panu moją wizytówkę, kto wie, może pewnego dnia spotkamy się ponownie... I gratuluję nagrody...

Sprzedawca początków powieści zniknął, zostawiając mnie w stanie wewnętrznego komfortu. Coś zbawiennego dla mojej równowagi zaszło w chwili jego odejścia: moja prawa ręka odnalazła sens, ścisnąłem w niej wizytówkę nieznajomego.

2.

Pan Busbib jest jedyną osobą w kamienicy, która wie, że jestem pisarzem. Jak na to wpadł, pozostanie dla mnie tajemnicą, ale podziwiam jego zmysł intuicji. W każdym razie to jasne, że pan Busbib wie o mnie więcej niż ja o nim.

W Paryżu istnieje klan portugalskich „dozorców”. Pan Busbib mówi z lekkim akcentem, ale nigdy nie ośmieliłem się zapytać go, czy jest Portugalczykiem, czy nie. On też nie dopytywał mnie o moje pochodzenie. Często natomiast zadawałem sobie pytanie, jak zorientował się, jaki jest mój prawdziwy zawód.

Prawdopodobnie ze względu na mój dość nieuporządkowany program dnia. Kiedy człowiek nie ma stałych godzin ani na wyjście do pracy, ani na zakupy, ani na spacer albo na inne codzienne czynności, jeśli nie wpisuje się w żadną z typologii ludzkich danego budynku czy dzielnicy, a zwłaszcza gdy rozmawia długo sam ze sobą przed filiżankami kawy we wszystkich kawiarniach w sąsiedztwie, to jasne, że ktoś taki może być tylko pisarzem. Oczywiście są też listy, które w kamienicy roznosi właśnie pan Busbib. A jako że liczne wydawnictwa odrzuciły dotychczas moje rękopisy, niektóre zaś zostały mi odesłane, pan Busbib z pewnością wyciągnął *stosowne* wnioski.

Nie powiedziałbym, że czuję się szpiegowany przez strażnika, ale też nie czuję się w jego obecności totalnie zrelaksowany. Czyżbym wydawał się *podejrzany* temu jakże łagodnemu i usłużnemu człowiekowi? A może ze mnie, z mojej twarzy, z mojego sposobu bycia emanują jakieś sygnały alarmowe?

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – pyta mnie od czasu do czasu pan Busbib.

Dziękuję mu, uśmiecham się i odpowiadam: „Nie, *merci*”, a jego pytanie wydaje mi się *totalnie* dwuznaczne. Pomóc mi

w czym? Chociaż wydaje się niewinne, pytanie pana Busbiba zawiera drobną prowokację, scenariusz. To tak, jakby pan Busbib pragnął uczestniczyć nieco *intensywniej* w moim życiu. Otóż ja od dawna jestem pożerany przez to, że inni mieszają się w moją intymną istotę.

Od dłuższego czasu jednak nie zważam na dziwne pytania, które zadaje mi dozorca. Na przykład to: „Stale widzę uchylone okienko w mansardzie. Czy to okno łazienki? Czy *celowo* zostawia je pan otwarte?”. Co mam przez to rozumieć? Że portugalscy dozorczy są wewnętrznie pokrętni? Nie odpowiadam, by nie otworzyć mu okien do mojego życia.

Tak długo jak pozostaję przed komputerem i piszę, mam wrażenie, że moje życie przynależy całkowicie do mnie. Dzielę je wyłącznie z monitorem, który stał się swego rodzaju abisalnym lustrem mojego istnienia, oraz z klawiaturą, po której ślizgają się moje palce. Odkąd nauczyłem się pisać metodą bezwzrokową, to znaczy bez patrzenia na klawisze, moje życie stało się swego rodzaju lejkiem: wyciekam bezpośrednio z mózgu na ekran. Od wielu lat nie piszę już dla innych, piszę tylko dla siebie, dla uczucia oszołomienia odczuwanego w świetle tego spektaklu: to, co wypływa z mojego mózgu, fascynuje mnie tak bardzo, że zmusza mnie do pisania niemal bez przerwy...

Ale są chwile, kiedy odrywam się od monitorów i idę do kuchni, aby zaparzyć sobie zieloną herbatę, albo wychodzę na balkon, aby nakarmić gołębie, lub schodzę do zielonej oazy pośrodku kompleksu bloków i pielęgnuję mój mały ogródek warzywny. W takich chwilach przerwy zachodzi inne zjawisko: moje życie przestaje należeć do mnie. Rozdziela się i rozdrabnia w moich gestach, w dotykanych lub widzianych przeze mnie przedmiotach. Dziwne uczucie, że *rozsypuję się* wokół samego siebie, że pozostawiam okruchy siebie we wszystkim, co widzę, we wszystkim, co przenoszę z miejsca na miejsce.

– Widziałem pana wczoraj z motyką. Co sieje pan w tym roku?

No cóż, nie, panie Busbib, nie chcę, by wiedział pan, co zamierzam posadzić w tym roku na mojej małej działce o po-

wierzchni czterech metrów kwadratowych. Moje wybory w odniesieniu do warzyw są równie tajne, jak uczone. Co roku sadzę trzy gatunki uzupełniające, które się lubią i bezkonfliktowo dzielą między siebie podziemne soki natury. W ubiegłym roku wyhodowałem sałatę, rzodkiewkę i pomidory. W tym roku posadzę cebulę, kalafior i pietruszkę. Nie chcę rozwodzić się tu nadto nad moją teorią o idealnym pożywieniu warzyw, ale między cebulą, kalafiosem i pietruszką istnieje braterstwo godne ulubionego hasła Rewolucji Francuskiej... A fakt, że w sercu Paryża, zaledwie kilka kroków od Manufaktury Królewskiej przy bulwarze Gobelins lub nieopodal Ogrodu Botanicznego, pośrodku zabudowy skromnych bloków, można stworzyć ogródek warzywny okolony różami, wydaje mi się początkiem rewolucji ekologicznej, być może oznaką obywatelskiego przebudzenia z delirium globalizacji. Absolutnie żaden przewodnik turystyczny nie wskazuje tej oazy, gdzie około trzydziestu paryżan uprawia swoje warzywne fantazje, rekonstruuje za pośrednictwem swoich grządek przyklejonych jedna do drugiej coś w rodzaju falansteru godnego utopijnych wizji Saint-Simona czy też Charles'a Fouriera.

Tak, przed komputerem i w moim paryskim ogródku warzywnym, czuję się ochraniający. Ale kiedy wychodzę po różne sprawunki, kiedy wstępuję do księgarń lub zasiadam w ogródkach kawiarnianych, zaczyna narastać we mnie poczucie rozsypaności, które czasami staje się wręcz katastrofalne. Oto ja: idę ulicą ze straszliwym lękiem w duszy, ponieważ odpadają za mnie kawałki życia. Niektóre są bardzo małe, wręcz maciupeńkie, tylko jakieś okruszki...

Od pierwszej chwili, kiedy otwieram drzwi i wychodzę na klatkę, czuję niemal jak *przepoławiam się* w taki sposób, że pokaźna część mnie pozostaje w postaci słów w pamięci komputera. Przywołuję windę, ale unikam patrzenia w lustro: nie rozumiem, dlaczego muszę zostawić w tej puszczy bez wyjścia do morza część mojego obrazu. Tragedia zaczyna się jednak na dole, w korytarzu bloku, w chwili, gdy nieuchronnie wpadam na dozorcę lub różnych lokatorów, oraz wtedy, gdy otwieram

skrzynkę pocztową. Setki, tysiące okruszków wysypują się ze mnie wokół, niesione słowami, które wypowiadam, i lawiną gestów, które im towarzyszą. Zostawiam po sobie ślady w spojrzaniach innych, na poręczach i na schodach, na klamkach i na przyciskach, a zwłaszcza w tych wszystkich powtarzających się zdaniach... „Dzień dobry”, „Czy był już listonosz?”, „Dość chłodno dzisiaj”, „Czy byli już u pana ci od deratyzacji?”, „Do widzenia”...

Nie wiem, czy macie w pamięci obraz tych komet, które posuwają się naprzód, rozpadając się... Centralne jądro, niezwykle świetliste, nadal sunie, błyszczące, wydaje się jeszcze nienaruszone, ale w rzeczywistości za nim rozpościera się, na długości milionów kilometrów, istota komety, miliardy cząstek oderwane właściwie od jej serca, od jej bytu... Gigantyczna smuga pozostaje w ślad po cudownym obiekcie kosmicznym, wybuch cząstek różnej wielkości. Nie, to jasne, żaden z naszych fizycznych gestów nie pozostaje bezkarny. Kiedy wychodzicie rano i jedziecie autobusem lub metrem, aby dostać się do biura, jakaś cząstka was pozostaje rozściełana na trasie, rozsypana na ramionach i w źrenicach setek ludzi napotkanych po drodze. Nadzwyczajna operacja społecznego zapyłania ma miejsce podczas przemieszczania się, małe cząstki subatomowe waszego istnienia uczepiają się innych istot lub poruszających się obiektów, zaczynają podróżować z nimi i rozpraszać się we wszechświecie. Niech więc nie dziwi was to, że czasami docieracie do biura wycieńczeni, lub że wieczorem, po powrocie do domu, jesteście ledwo żywi. Każde wyjście z własnej jaźni, z ochronnego kokonu łóżka czy pokoju dziennego, pozwala zewnętrznemu światu skubać was chciwie, pożerać okrutnie, macerować i rozsyłać w postaci wiórów i drobinek, okruszków i obrazów, dźwięków i zapachów w tysiącach i w setkach tysięcy kierunków.

Dlatego powtarzam wam: uważajcie na każdym kroku. A przede wszystkim otwierajcie się wyłącznie przed istotami komplementarnymi.

3.

Wielce Szanowny Panie,
słyszałem, że mnie Pan szukał. Niestety w chwili obecnej przebywam poza Francją i wrócę najwcześniej w styczniu przyszłego roku. Nasz dialog może się jednak rozpocząć nawet w tych okolicznościach.

Jak Pan zapewne zdołał zauważyć, mój telefon stacjonarny nie jest wyposażony w automatyczną sekretarkę czy repondeur, jak lubią mawiać niektórzy. Prawdopodobnie zauważył Pan także, studiując z większą uwagą moją wizytówkę, że nie figuruje na niej żaden numer telefonu komórkowego ani adres e-mail. No cóż, nie chcę dać się pochłonąć fatalności spraw bezzwłocznych wymyślonej przez nowoczesność. Po prostu nie życzę sobie, by można było zastać mnie pod telefonem o każdej porze dnia ani by wysyłano mi drogą elektroniczną pozbawione kurtuazji wiadomości.

Nic, o czym chcę mi powiedzieć istoty żyjące na tym ciele kosmicznym zwanym Terra, nie jest w istocie pilne – oto moja zasada. Wynalezienie telefonu komórkowego, poczty elektronicznej i innych systemów szybkiej interkoneksji doprowadziło w rzeczywistości do zniszczenia umiłowanego przeze mnie literackiego gatunku – epistolarnego. Kilka wieków twórczości epistolarniej zostało w ten sposób brutalnie wymazane z edukacji młodzieży i nam współczesnych. Otóż ja się sprzeciwiam tej zbrodni. Oto dlatego wolę pisać tradycyjne listy i odpowiadam tylko wtedy, gdy pisze się do mnie w ten sam sposób, na arkuszach papieru A4, ręcznie i koniecznie piórem. Długopis wydaje mi się zniewagą.

Powróćmy jednak do powodu, dla którego Pan mnie szukał. Niewątpliwie zaintrygowało Pana to, o czym opowiedziałem Panu tamtego jesiennego wieczoru z okazji wręczenia nagród literackich, dwa tygodnie temu. Korzystając z okazji, ponownie pogratuluję Panu wyróżnienia: Nagroda za Opowiadanie Niezależnych Księgarzy z Departamentu Île-de-France. Nadal jednak jest to oznaka uznania ze strony środowiska. Niech się Pan nie smuci, proszę przestać powtarzać sobie w myślach, że to była tylko jedna spośród wielu nagród, że został Pan tylko laureatem spośród trzydziestu innych, pewnego deszczowego popołudnia, w którym nie miał Pan nawet wystarczająco dużo czasu, by wygłosić podziękowanie. Z tego prawdopodobnie powodu uciekł Pan do tego zakątka w ogrodzie, to znaczy tam, gdzie do Pana podszedłem, rozczarowany absurdem sytuacji. Wyznam Panu skądinąd, że cała ceremonia wręczenia nagród była śmieszna. Zgromadzono was tam, na estradzie na tyłach ogrodu, około trzydziestu mniej lub bardziej zniecierpliwionych osób, by uciec od tej żalotnej sytuacji. Każdy miał prawo wygłosić trzyminutowy speech po przyznaniu nagrody, tylko że z powodu deszczu Prezes Towarzystwa Humanistów został zmuszony do przyspieszenia operacji. W ten sposób, po pierwszych trzech lub czterech laureatach, którzy wygłosili w całości swoje przemowy, kolejnym skrócono czas. Piąty i szósty miał prawo do zaledwie dwóch minut, ósmy i dziewiąty jedynie do półtorej minuty, a dziesiąty i jedenasty zaledwie do jednej minuty... A potem nastąpiło przyspieszenie jak w filmach z Charliem Chaplinem, trzydzieści sekund na głowę laureata, ba! nawet mniej, jedno zdanie dla ostatnich trzech lub czterech szczęśliwych posiadaczy wyróżnień... A gdy przyszła kolej na pańskie wystąpienie, Przewodniczący Jury prawdopodobnie poprosił Pana, by ograniczył się Pan do zwykłego „dziękuję”. Osobiście doceniłem ogromnie, że zdecydował się Pan po prostu skinąć głową na znak wdzięczności, co pozwoliło potem schronionemu pod parasolami tłumowi pognać w stronę bufetów ustawionych w różnych częściach ogrodu, chwila, w której ustał skądinąd deszcz.

Proszę mi wybaczyć, jeśli moja ewokacja wydaje się nieco złośliwa, ja też jestem na swój sposób obserwatorem świata, ale nade wszystko jestem sprzedawcą początków powieści, który starannie dobiera swoich klientów.

*Z wyrazami szacunku
Guy Courtois*

4.

Niełatwo jest mieć starszego brata, którego wszyscy uważają za geniusza. Wyobraźcie sobie tę sytuację: ledwo otwierasz oczy po urodzeniu, a pierwsze zdanie wchłonięte przez twój mózg zawiera słowo Victor. „Zobaczysz, że będzie podobny do Victora”.

Victor jest też pierwszym słowem, które wypowiedziałem później. U niemal wszystkich dzieci pierwsza spójna emisja dźwięku dotyczy relacji afektywnych z matką lub ojcem. Dla mnie pierwszym istotnym słowem był Victor. W dniu moich urodzin Victor miał sześć lat, był już genialny i poszedł do pierwszej klasy. Nauczył się spontanicznie czytać i uczęszczał też na lekcje angielskiego. Etap przedszkolny przewyższył poziomem, zostawiając po sobie wspomnienie nad wyraz utalentowanego dziecka, sąsiedzi zaś rozplýwali się w pochwałach dla jego uprzejmości i *dojrzałości*.

Jak już powiedziałem, niełatwo jest, świeżo po wyjściu z matczynego łona, zostać poddanym egzystencjalnej próbie ognia przez nieustanne porównywanie do swojego brata. „Ach, Victor nie płakał nawet przez sekundę, gdy był bobasem”. „Victor szybciej siadał na nocnik”. „Victor szybciej nauczył się mówić”. „Victor szybciej nauczył się chodzić”. „Victor szybciej nauczył się czytać”.

Pierwsza część mojego życia była ciągłym przeglądaniem się w egzystencji Victora, mojego starszego brata, mojego silniejszego brata, mojego mniej chorowitego brata, mojego weselszego brata, mojego mądrzejszego brata, mojego dowcipniejszego brata, mojego hojniejszego brata... Nie myślcie jednak, że na tle owego bombardowania porównaniami moja podświadomość

wykształciła jakąś awersję do Victora. O niczym takim nie było mowy. Jakikolwiek zastosowanie teorii Freudowskiej w moim przypadku legło w gruzach. Nawet przez ułamek sekundy nie rozwinęła się w głębi mojej duszy reakcja odrzucenia czy, broń Boże, nienawiści do starszego brata. Nie, wprost przeciwnie, przez całe swoje życie szczerze podziwiałem Victora. Czułem się chroniony i osłaniany przez jego istnienie. Był dla mnie jak potężny parasol. Wiedziałem, mając zaledwie kilka miesięcy, że mogę na Victora liczyć. Poza tym Victor, z kolei, obchodził się ze mną jak prawdziwy *paternalistyczny brat*. Z chwilą moich narodzin Victor wziął na siebie z powagą nową misję: czuwania nade mną.

Nieco trudniej było mi tylko wtedy, gdy zrozumiałem, że wszystkie ubranka, które nosiłem, należały niegdyś do Victora. Podobnie jak wszystkie zabawki, którymi się bawiłem. Jako że Victor był wzorowym dzieckiem, nigdy nie zdarł butów, nigdy nie pobrudził ani nie potargał ubrań. Zatem wszystko, co mi oferowano do ubrania, od majtek po płaszczyk, od koszulki po czapkę, było już kiedyś noszone w sposób *odpowiedzialny* przez Victora, tak że wydawało się nowiusieńkie. Nie sposób było nie docenić Victora za ogromne oszczędności, jakie czynił na rzecz domu, zwłaszcza że tata, jako urzędnik pocztowy, nie miał zbyt wysokiego wynagrodzenia, mama zaś prowadziła dom, chociaż dorabiała czasem szyciem.

Cała nasza rodzina zaczęła potem, gdy Victor ukończył sześćnaście lub siedemnaście lat, krążyć wokół mojego starszego brata obdarzonego naturalnie niepodważalnym autorytetem. Od czternastego roku życia Victor był zdolny podjąć rozmowę na dowolny temat z dorosłymi. Victor czytał prasę, oglądał dzienniki telewizyjne i miał poglądy polityczne. Victor potrafił przeprowadzić krytyczną analizę filmu, uargumentować swój punkt widzenia, przeciwstawić się dorosłym, nie irytując ich, zachowywać spokój ducha nawet wtedy, gdy mówił rzeczy niebywałe... A przed dorosłymi, którzy byli oczywiście bardziej wykształceni i bardziej obeznani niż on, Victor wyróżniał się

tym, że zadawał *niezwykle* inteligentne pytania. Zresztą Victora zawsze chwalono za ogromną umiejętność zaangażowania i błyskotliwość, gdy słuchał tego, co mówili inni.

Kiedy rozpocząłem naukę w szkole podstawowej, zdjęcie Victora figurowało już na tablicach z najzdolniejszymi uczniami w historii placówki. Już pierwszego dnia nauczycielka zadała mi to pytanie, które potem słyszałem powtarzane przez lata: „Czy ty jesteś młodszym bratem Victora?”. Nie było nauczyciela, który nie postawiłby mi później, od pierwszego dnia szkoły do końca szkoły średniej, tego pytania. Na ogół byłem uważnie badany wzrokiem i oceniany z pewnym niedowierzaniem. To było tak, jakby ci nauczyciele próbowali w myślach nakładać mój obraz na ten dawniejszy, który pozostał im w głowach po spotkaniu z Victorem. Otóż, ewidentnie, to nałożenie obrazów wychodziło na moją niekorzyść. Mój wizerunek, wyczuwałem to od razu, nie był równie nieskazitelny, spektakularny, równie wspaniały w porównaniu ze śladem wyrytym w pamięci tych dorosłych przez mojego brata Victora. Skądinąd, ilekroć czułem, że w ich umysłach zaczynała się operacja nakładania obrazów, wyszukiwania podobieństw między mną a Victorem, wbijałem instynktownie spojrzenie w ziemię i pozostawałem ze spuszczoną głową, z lekko przygarbionymi ramionami, świadomy faktu, że nie dorastam mu do pięt.

Chociaż nie byłem wcale złym uczniem, nigdy nie wzniosłem się na poziom Victora. A gdy udawało mi się zaskoczyć nauczycieli pracami domowymi lub udzieleniem dobrych odpowiedzi, gratulowali mi także w imieniu Victora, niekiedy słowami: „W tym zadaniu pomógł ci troszkę *brat*, prawda?”. Na ogół, na tego typu połowiczne zarzuty nie śmiałem odpowiedzieć: „Nie, to nieprawda”, bo cała nasza rodzina była Victorowi zobowiązana. Nie wiem, jak wytworzyła się ta rozproszona pewność, ale wszyscy widzieliśmy w istnieniu Victora dar boski, formę hojności ze strony natury, prezent od losu. Cała nasza rodzina, innymi słowy dziadkowie, trzej wujkowie i cztery ciotki, a także liczne kuzynki i kuzyni, podzielali to

samo uczucie: Victor przybył na świat z *misją*. Oto dlaczego istnienie całego naszego klanu zyskiwało wyższy cel: wszyscy zostaliśmy stworzeni po to, aby mu pomagać, aby go wspierać, aby pchać Victora naprzód.

Kiedy Victor opublikował swoje pierwsze wiersze w gazetce szkolnej, wszyscy byliśmy przekonani, że zostanie wielkim pisarzem. Kiedy zaczął wygrywać pierwsze konkursy matematyczne, stało się jasne, że Victor zostanie wielkim uczonym. Problem polegał jednak na tym, że Victor był też dobry w sporcie, zwłaszcza w piłce ręcznej, gdzie elegancją jego ruchów stała się głównym cotygodniowym spektaklem dla wielu koleżanek. „One pozerają Victora wzrokiem”, mówiła często mama i dbała o to, by wsunąć Victorowi do kieszeni jakąś czerwoną nitkę, aby nikt nie zauroczył jej ukochanego syna...

Chwila ogromnego napięcia zapanowała w naszych duszach, tych, którzy byliśmy satelitami Victora, kiedy mój starszy brat musiał jednak wybrać kierunek studiów. Victor nie mógł zdecydować się na *cokolwiek*, jego wyższe wykształcenie musiało być na miarę jego zdolności, jego aury. Victor był tak dobry we wszystkim, że mógłby studiować *cokolwiek*, odnieść sukces w każdej dziedzinie... Architektura, adwokatura, medycyna... Ileż to razy padały, przy stole, w obecności, ale i podczas nieobecności Victora, te magiczne słowa! W odniesieniu do przyszłych studiów Victora każdy miał prawo wypowiedzieć swoją opinię, dziadkowie, wujkowie, ciotki i kuzyni, a nawet sąsiedzi. *Badania naukowe...* Oto inne słowa, które, odkąd ukończyłem dwanaście lat, wbiły mi się do mózgu niczym gwóźdź. Mój starszy brat był stworzony do tego, by zostać badaczem, przynajmniej tak utrzymywała starsza siostra matki. Kiedy słyszałem to słowo, *badacz*, widziałem Victora, nie wiem dlaczego, ubranego jak Sherlock Holmes, z lupą w jednej ręce i laską w drugiej, jak przemierza miasta i wsie, płaskowyzę i przestrzenie gwiazdne, w poszukiwaniu absolutu.

Ostatecznie Victor znalazł dziedzinę na miarę swoich możliwości, ale przede wszystkim takiej natury, by zadziwić nas

wszystkich. „Zdecydowałem, że będę studiować cybernetykę”, powiedział Victor bez emfazy, ale i nie bez lekkiej satysfakcji, wiedząc, że cała rodzina będzie głęboko zaskoczona. Na słowo *cybernetyka* wszystkim członkom naszego klanu opadły szczęki.

Bęc.

5.

Trzy dni stałem w kolejce
do gabinetu zdarzeń
aby sprawdzić czy moje spotkanie z Panną Ri
było lub nie było przewidziane

NIE, werdykt był jasny
prawie wszyscy z tysiąca urzędników odpowiedzialnych
za zarządzanie zdarzeniami z mojego życia
powiedzieli NIE

jeden powiedział jednak NIE, CHOCIAŻ
drugi powiedział NIE, ALE

wszyscy są imbecyłowatymi i nieuważnymi urzędnikami,
taka jest
prawda
cały dzień popiją kawę, palą i zgłębiają
powierzchnownie
trajektorie istot we mnie
moje wyjścia do świata, moje obawy i moje nagłe gesty
jesteście opłacani przez państwo absolutnie na próżno
powiedziałem im
jeśli Panna Ri nie była przewidziana
w moim życiu
to czego szuka w moim wierszu?

6.

Wielce Szanowny Panie,
piszę do Pana z wielkim smutkiem, bowiem zmarł mój przyjaciel, człowiek, z nazwiskiem którego wiąże się wspomnienie niezmiernie miłych chwil, powiedziałbym nawet, że ekstatycznych, spędzonych w pewnej kawiarni w Wiedniu. Umarł Leopold Hawelka, może mówi Panu coś to nazwisko, Hawelka to słynna wiedeńska kawiarnia. Równie znana, co Les Deux Magots w Paryżu, Caffè Greco w Rzymie, kawiarnia Odéon w Zurychu lub kawiarnia Louvre w Pradze. W chwili, w której do Pana piszę, jestem właśnie w kawiarni Hawelka, mam przed sobą małe espresso lub Kleiner Schwarzer, jak nazywają je tutaj, i czuję ogromny ścisk w gardle. W tej kawiarni odbyłem, w ciągu ostatnich trzydziestu lat, wiele spotkań z kilkoma najlepszymi pisarzami w Europie, szczególnie z tymi, którzy w taki czy inny sposób przystali na nasze usługi. Wiem, że wiele Pan podróżował w swoim życiu, że włączył się Pan tu i tam po świecie, że przez rok mieszkał Pan w Londynie i przeszło dwa lata w Japonii. Wiem, że próbował Pan szczęścia w Hollywood i mieszkał Pan przez pewien czas w Kalifornii, znam też Pana zamiłowanie do Morza Śródziemnego i Bałkanów, czytałem Pana wzniosłe słowa napisane po pobycie w Teheranie, ale nie wiem, czy miał Pan kiedykolwiek czas, aby rozkoszować się urokiem przestrzeni niemieckiej. Czy kiedykolwiek próbował Pan nauczyć się języka niemieckiego? „Wieczność jest po to, bym nauczył się języka niemieckiego” – powiedział Mark Twain. Cóż za pochwała wygłoszona dla tego języka, bez którego spekulacja filozoficzna byłaby nieskończenie uboższa! Nieco bardziej złośliwy był Karol V, któremu przypisuje się to oto powiedzenie: „Mówię po hiszpańsku do Boga, po wło-

sku do kobiet, po francusku do mężczyzn, a po niemiecku do mojego konia”.

Właściwie nie wiem, dlaczego opowiadam Panu to wszystko, prawdopodobnie, aby obudzić z odrętwienia moje czoło i zapomniać o śmierci przyjaciela Leopolda Hawelki. Gdyby wszedł Pan w tej chwili do kawiarni, ujrzałby mnie Pan samego przy ostatnim stoliku po lewej stronie baru, ustawionym strategicznie w samym rogu. Siedzę na kanapce w prążki, a nade mną góruje ogromny, okrągły zegar umocowany na drewnianej sześciokątnej podstawie. To, co zawsze lubiłem w tej kawiarni, to skądinąd drewno: prawie wszystko jest tu wykonane z drewna, z wyjątkiem okrągłych marmurowych płyt rozłożonych na niektórych stołach. Ściany są wyłożone drewnem, podłoga jest drewniana, sufit jest drewniany, krzesła są z drewna... Drewno nadaje rodzaj prostoty, szczerości temu miejscu, w którym nic nie jest wyrafinowane, nic nie jest luksusowe, gdzie czuć, że niepowtarzalność staje się luksusem. Hawelka jest kawiarnią, w której ma się wrażenie, że nic się nie zmieniło od co najmniej czterech lub pięciu dekad, skądinąd drewniany sufit odrapał się trochę, czasami nawet masz wrażenie, że niektóre kasetony mogłyby w jednej chwili oderwać się i spaść ci na głowę.

Ale, powtarzam, nie wiem, dlaczego zacząłem opisywać Panu kawiarnię. Ścisł gardła (lub myśli?) osłabł trochę, ponieważ poprosiłem w międzyczasie o kieliszek grzanego wina. Właściwie chciałem Panu powiedzieć, że w tej kawiarni, bardzo wiele lat temu, podszeptano do ucha zdanie Eliasowi Canettiemu. Czy wie Pan, jak zaczyna się jego słynny esej Masa i władza? Prawdopodobnie tak, ale przypomnę go Panu: „Człowiek niczego nie obawia się bardziej niż dotknięcia przez coś nieznanego”.

Życzę Panu inspiracji, jeśli pisze Pan w tym momencie.

G.C.

7.

Wizytówka pozostawiona przez człowieka, który rozmawiał ze mną w ogrodzie Towarzystwa Humanistów intrygowała mnie nie bez powodu.

Guy Courtois
Początki powieści
Pasaż Verdeau, 75009 Paryż
(obok księgarni Verdeau)

Nazwisko było dość banalne, choć sugerowało pewną aluzję do idei kurtuazji i brzmiało trochę jak obietnica. Tym, co wprawiało jednak w zakłopotanie, była informacja umieszczona tuż pod nazwiskiem: *początki powieści*. Na większości wizytówek to miejsce jest zwykle zarezerwowane dla klarownej informacji: *pisarz, dyrektor generalny, konsul honorowy, specjalista w dziedzinie radiologii i obrazowania medycznego, masaż z rendez-vous* itd. Oczywiście, każdy człowiek umieszcza na swojej wizytówce to, co mu się podoba, może podkreślić swoją funkcję lub specjalizację, aspiracje czy hobby. Na ilu to wizytówkach nie czytałem formułki typu *foto/wideo* albo *koordynator projektu* lub po prostu *prezes*.

Guy Courtois zdawał się polecać siebie jako osobę powiązaną ze światem powieściowym, a konkretniej z początkami powieści, zachowując przy tym pełną dwuznaczność w tym zakresie. Był specjalistą od *początków powieści*? Ale w jakim sensie? Studiował *początki powieści* z literackiego, z psychologicznego czy z komercyjnego punktu widzenia? Równie niejednoznaczny był adres: *pasaż Verdeau, 75009 Paryż*. Oczywiście, dobry

znawca Paryża natychmiast zlokalizuje obszar, dzielnicę 9, wielkich bulwarów ciągnących się od Opery Garnier do Placu Republiki. W średniowieczu na tej trasie znajdował się odcinek murów ogradzających Paryż. Uwolnione od nich pod koniec XVII wieku, Miasto Świąteł nabrało oddechu i stworzyło nową strefę promenady i zbiorowego obłędu... Kiedy teatry wodewil i krwawych dreszczy namnożyły się w okolicy, jedną z tych arterii – *Boulevard du Temple*, nazwano *Bulwarem Zbrodni*. I nie dlatego, że na jego trotuarach, w jego kawiarniach czy restauracjach popełniono jakąś przeraźliwą zbrodnię, lecz dlatego, że na scenach tych bulwarowych teatrów trup ścielił się gęsto co wieczór, krew lała się na scenie litrami, obryzgując kostiumy i dekoracje. Z całej tej strony szaleństwa, tradycji karnawału i bitew z confetti, z całego tego popularnego przemysłu przyjemności pozostały do dzisiaj nieliczne ślady, wśród nich *pasáže*. Wąskie, niekiedy kręte, pokryte prawdziwymi koronkami szkła i witrażami, ukryte przed wzrokiem nieuważnego turysty, pasáže przypominają okres *La Belle Époque* i są prawdziwymi podróżami w czasie. Pasaż Verdeau jest być może najautentyczniejszy ze wszystkich, goszcząc dyskretnie różnego rodzaju małe galeryjki sztuki, antykwariaty, maleńkie restauracyjki i zakurzone księgarnie. Wytarte marmurowe płytki noszą zdaje się piętno milionów kroków, szyldy napisane starymi charakterami liter, latarnie i pełne osobliwości witryny, wszystko to i inne nieskończone szczegóły są wiadomościami wyczerpanego wieku, fragmentami pokruszonej pamięci.

Kiedy dotarłem przed drzwi księgarni Verdeau, odkryłem, że nigdzie nie widniało nazwisko Guy Courtois. Obok księgarni nie było nic, inaczej mówiąc nie sąsiadowała z żadnymi drzwiami, żadnym wejściem, na którym byłoby napisane GUY COURTOIS. Nie, księgarnia była wciśnięta między gabinet filatelistyki prehistorycznej a staromodne studio fotograficzne. Nie pozostało mi nic innego, jak wejść do księgarni i zapytać, czy istnieje jakiś pan Guy Courtois, którego miejsce zamieszkania lub biuro znajdują się w pobliżu.

– Pan Guy Courtois rzeczywiście dostaje na nasz adres korespondencję – wyjaśnił mi nad wyraz miły staruszek z małymi, wścibskimi oczkami. Łysina postaci doskonale współgrała ze sferycznym abażurem lampy stojącej na stole, przy którym czytał.

Wskutek mojego milczenia staruszek powrócił do czytania, nie krępując się wcale moją obecnością. Człowieczek był prawdopodobnie przyzwyczajony do tego rytuału: gdy do niego mówiono, podnosił wzrok znad książki, gdy rozmówca milkł, nie tracił czasu i ponownie zatapiał się w lekturze.

Jako że wyglądałem na człowieka zupełnie zbitego z tropu, niezdolnego do zebrania myśli, nad wyraz miły staruszek postanowił poświęcić mi jeszcze dziesięć sekund swojego cennego czasu.

– Jeśli chce pan do niego napisać, proszę tam usiąść.

Drżącą dłonią wskazał mi lakierowany stoliczek w stylu Ludwika XV, na którym znajdowały się: stos białych kartek, kałamarz z tuszem, podkładka z bibułka i kolekcja obsadek ze stalówką, jakich nie używałem od dzieciństwa, odkąd ukończyłem lekcje kaligrafii.

Ostatecznie, dlaczego nie, powiedziałem sobie, napiszę kilka słów do tego pana Guya Courtois, który zniknął w sposób dość niegrzeczny.

– Życzy pan sobie może kawy? – zapytał mnie ponownie nad wyraz miły staruszek, poświęcając kolejne pięć sekund swojego życia i ponownie przerywając swoją pasjonującą lekturę. Nie czekając na moją odpowiedź, wskazał mi, na jednej z półek przy stole, starą srebrną kafetierę otoczoną sześcioma filiżankami z porcelany Sèvres. Nie wiem dlaczego, ale kafetiera w otoczeniu filiżanek przywołała mi na myśl obraz tajnego i bardzo intymnego stowarzyszenia literackiego: wyglądało to tak, jakby kafetiera, niczym niekwestionowany *guru*, opowiadała coś zaciekawionym słuchaczom, siedzącym na niskich taboretach wokół centralnego autorytetu narracyjnego.

– Proszę uważać, jest gorąca – dodał staruszek, tym razem nie podnosząc wzroku znad książki.

Gdyby opowieść, którą czytał, nie była tak porywająca, prawdopodobnie wytłumaczyłby mi cierpliwie i z pobłażliwym uśmiechem, na czym polega wyższość kafetier ze srebra. Tylko one mają tę niesamowitą właściwość utrzymywania przez długie godziny gorącej kawy, praktycznie w stałej temperaturze. Tego nie potrafi żaden inny typ kafetieri, z wyjątkiem elektrycznych (ale niestety stale podłączonych do gniazdka, co jest prawdziwą okropnością, ponieważ dobra kawa powinna być zawsze zaparzana *na ogniu*).

Gdy mój umysł zaczął już chwytać, co takiego nad wyraz miły staruszek chciał być mi przekazać, ten ostatni wołał milczeć, aby kontynuować lekturę. Przez myśl mi nie przeszło, by zapytać go, co czyta, byłoby to może nawet nieuprzejme. Moje oczy zapamiętały jednak, z jego otwartej książki, nazwisko postaci: X. Przez chwilę mój mózg nie był w stanie przetworzyć tej informacji. Znacznie później zdałem sobie sprawę, że ten człowiek, w tamtym momencie i w mojej obecności, mógł czytać tylko jedną książkę, i że była to akurat moja własna książka, a dokładniej zbiór opowiadań nagrodzonych trzy dni wcześniej głupią Nagrodą za Opowiadanie Niezależnych Księgarzy z Departamentu Île-de-France.

8.

Jak to zrobić, by nie brać jej w ramiona
kiedy widzę, jak idzie przez świat?

sporządzam sobie listę:
wkładać stale do kieszeni zapasowy chodnik,
gdy widzę
że się do mnie zbliża, wyciągam chodnik i przechodzę na
drugą stronę

udaję, że nie zwracam uwagi, odwracam głowę do muru,
wmurowuję się w niego
przechodzę przez mur

lub:
odwracam się niespodziewanie i uciekam, każdy
mnie zrozumie,
(zapomniałem czegoś istotnego, gdzieś, dziesięć dwadzie-
ścia trzydzieści lat temu, uciekam do dzieciństwa)

lub, jeszcze lepiej, kiedy widzę, że się zbliża do
mnie
unoszę ramiona, przemieniam je w skrzydła, odkrywam
nagle,
że potrafię latać, do widzenia, Panno
już nie jestem zobowiązany umrzeć, jeśli nie wezmę pani
w ramiona

lub, jeszcze lepiej, już się nie rodzę, nie piszę już nic
więcej
nawet ten wiersz już nie istnieje

nie, nie mogę jej tego zrobić, ona żyje jednym wierszem
na dzień

lepiej jak przemienię się w wiersz
będzie się mną perfumować, lgnąć do mnie podczas
śniadania

przeczyta mnie może kilka razy...

9.

Nie, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek bawił się z moim starszym bratem. Różnica między nami nie pozwalała na to. I nie chodzi tylko o różnicę wieku, lecz bardziej o różnicę temperamentów. Kiedy zacząłem dorastać i osiągać wiek zabaw, Victor nie miał już czasu na *głupoty*.

Oczywiście, pamiętam wspólne spacerowanie tylko z nim lub z całą rodziną, a nawet wakacje w górach czy nad brzegiem morza. Victor jednak nie miał wobec mnie ludycznej postawy, chciał mi przekazać coś zupełnie innego. On *objaśniał* mi właściwie, o co chodzi ze światem, co powinienem zrozumieć z takiego a takiego zdarzenia.

„Posłuchaj, co ci mówię, i wbij to sobie do głowy. Bo jeśli mnie posłuchasz, zyskasz na czasie”.

Nigdy nie zapomniałem tej jego postawy, zwrotów, za pośrednictwem których Victor oferował mi „w prezencie” obszerne połacie czasu. Nie wiem, dlaczego Victor miał obsesję, już w tak młodym wieku, na punkcie czasu. Jeśli o mnie chodzi, jako sześć-, siedmio- czy ósmiolatek uważałem się za nieśmiertelnego, nie wydawało mi się wcale, że moje *zasoby* czasu są w taki czy inny sposób zagrożone, że istnieje ryzyko ich zmalenia. Victor chciał podwoić mi rezerwę czasu, oferując swoje rozwiązania. Mechanikę jego działania można by podsumować w następujący sposób: posłuchaj, braciszku, o co chodzi, zamiast męczyć się samemu, by zrozumieć, czym jest świat, jak pojawiłeś się na ziemi, do czego służy życie i jak powinieneś wybierać przyjaciół, jaki obrać sobie cel i jak należy żyć dzień po dniu, zamiast samemu rozwiązywać te problemy, przyjmij moje rozwiązania i w ten sposób zaoszczędzisz całe dni łamania sobie głowy, na-

wet miesiące, a może i lata niepewności; skorzystaj z tego, że mnie masz, pytaj mnie co i jak, ilekroć masz jakąś wątpliwość, i w ten sposób zmierzaj do celu, bez zbędnego kluczenia, nie ryzykując, że zbłądzisz po drodze...

Tak, Victor pełnił w moim życiu, coraz częściej, gdy miałem sześć czy siedem lat, tę rolę badacza. On *z badał* już dla mnie wszystko i mógł teraz prowadzić mnie po każdej drodze, nawet tej najciemniejszej, z wiecznie zapaloną latarnią w dłoni.

Nawet dziś wydaje mi się to dziwne, że Victor oddziałał w moim życiu w charakterze przewodnika silniej niż moi rodzice czy nauczyciele. Kiedy jesteś mały, wszyscy dają ci wskazówki i lekcje życia. Ale Victor robił to w zupełnie nadzwyczajny sposób, ze szczególnym uśmiechem na ustach, jak gdyby operacja przewodzenia mojej osobie nieustannie go bawiła. Praktycznie nie było takiego pytania, na które Victor nie miałby natychmiastowej i bardzo jasnej odpowiedzi. I żeby pomóc mi zyskać jeszcze więcej czasu, Victor zaczął w pewnym momencie nie tylko udzielać mi odpowiedzi, ale także formułować w moim imieniu pytania.

„Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, jak będziesz wyglądać, gdy dorośniesz?” – pytał mnie, na przykład, Victor, aby następnie wytłumaczyć mi, że muszę uprawiać sport „w sposób zdyscyplinowany”. A ta dyscyplina powinna zacząć się od ćwiczeń oddechowych, bo nie oddychałem prawidłowo. Co więcej, z jego punktu widzenia nie chodziłem prawidłowo, ponieważ miałem tendencję do unoszenia się na palcach zamiast „honorować ziemię” całą podeszwą stopy...

Problem czasu zaostriżył się, gdy miałem jedenaście czy dwanaście lat i kiedy Victor ostrzegł mnie, że zostanę *sam*. Poza tym cała rodzina zaczęła się przygotowywać na ten szok, a dokładniej mówiąc, na szok związany z jego wyjazdem na studia. Victor, naturalnie, zamierzał studiować w Stolicy, to znaczy pięćset kilometrów od naszego małego i anonimowego, zakurzonego i skromnego miasteczka. W miesiącach poprzedzających wyjazd Victora odniosłem skądinąd wrażenie,

że całe miasto czeka, poruszone i niespokojne. Dziesiątki ludzi przewinęło się wtedy przez nasz dom, aby życzyć Victorowi powodzenia, aby zobaczyć go ostatni raz przed odjazdem, aby dać mu jakiś dowód uznania, symboliczny prezent lub amulet...

„Tylko nie becz” – mówił do mnie od czasu do czasu Victor, co napawało mnie niepokojem, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, aby płakać, ale słowa Victora dały mi do myślenia, a nawet zasugerowały, że płacz byłby czymś naturalnym. W każdym razie matka już ocierała ukradkiem kręcącą się w oku łzę, ponieważ wysyłała Victora „między obcych”. Cała ta atmosfera stwarzała wrażenie, że Victor byłby jedynym nastolatkiem w mieście, przed którym Stolica otwierała swoje podwoje. Ale rankiem, gdy odprowadziliśmy go na dworzec, byłem głęboko rozczarowany, odkrywszy tłum chłopców i dziewcząt szykujących się do wyjazdu, z walizkami i torbami, z torebkami i paczkami, w wyśmienitych nastrojach, bardzo podekscytowanych, uradowanych z tego, co im się przydarzało, z rozstania z rodzicami i miastem.

Tamte chwile spędzone na peronie były dla mnie, właściwie, pierwszym prawdziwym szokiem, ponieważ tłum wchłonął Victora, nie dbając o niego, nie poświęcając mu żadnej szczególnej uwagi. Ciżba młodych ludzi nie rozdzieliła się na boki, gdy pojawił się Victor (i my, cała jego rodzina, za nim), żaden przedstawiciel Kolei Żelaznych nie zjawił się, by odebrać walizki Victora, a kiedy miał wsiadać do wagonu, nikt nie przepuścił go przodem. W obliczu tej formy niesprawiedliwości, widząc Victora po raz pierwszy w sytuacji brutalnej anonimowości, mój mózg zbuntował się, moja istota zaczęła drżeć i moje krótkowzroczne oczy wytworzyły spontanicznie dwie gigantyczne łzy. Te dwie łzy zwały się potem na peron z taką siłą (boom! boom!), że wszystkie rodziny i wszyscy znajdujący się tam nastolatki zamilkli na dwie sekundy, kierując na mnie swoje spojrzenia.

„Mówiłem ci, żebyś nie płakał” – wyszeptał mi do ucha Victor, wyraźnie zawstydzony sytuacją, *brzemieniem*, jakim dla niego byłem.

10.

„Dzisiaj umarła mama”.

Naprawdę wierzy Pan, że takie proste twierdzenie może zrodzić się w umyśle pisarza? Zapewniam Pana, że nie. Pisarze to, na ogół, ludzie skomplikowani, wewnętrznie rozdarci, pokrętni, pełni sprzeczności, czerwoni z ambicji, niezbyt hojni jako osoby społeczne, chociaż spalają się dla idei ludzkości.

Nie, zapewniam Pana, że Albert Camus nigdy nie rozpocząłby powieści *Obcy* tym oto zdaniem, gdybyśmy mu go nie dostarczyli. Skądinąd nigdy nie napisałby tej powieści w stylu tak zwyczajnym, prostolinijnym, konfesyjnym w sensie największej wiarygodności, gdybyśmy nie podsunęli mu punktu wyjścia, jeśli nie otworzylibyśmy mu tych cudownych drzwiczek.

„Dzisiaj umarła mama”.

Cóż za zdumiewający, obiecujący, przekonujący początek powieści! To krótka powieść, jak Pan zapewne pamięta, kto nie czytał Camusa w wieku piętnastu lub szesnastu lat! Czy nie mówiło się o nim, właściwie (z pewną dozą złośliwości), że jest, przede wszystkim, pisarzem dla licealistów, ba, nawet filozofem dla uczniów szkół średnich? I jak pan myśli, kto przykleił Camusowi tę etykietkę? Banda wyrafinowanych pisarzy z kręgu Sartre'a, tych pretensjonalnych grafomanów niezdolnych do wypowiedzenia spójnego zdania bez fumów i wewnętrznej emfazy. Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo cierpieli ci lewicujący afektowani impotenci, gdy zobaczyli, że Albert Camus otrzymał Nagrodę Nobla w wieku zaledwie czterdziestu czterech lat... Pamiętam do dziś tę scenę, byłem z nim na pierwszym piętrze restauracji w Montparnasse, kiedy nagle wpadł do środka młody księgarz, kościsty i wysuszony typ, dziwacznie ubrany, jakby był myśliwym. Ten

człowiek podszedł do nas i, nie wiem dlaczego, zwrócił się do mnie zamiast do Camusa, prawdopodobnie mnie z nim pomylił. „Panie Camus, dostał pan Nagrodę Nobla!” – zdołał wyszeptać, po czym obrócił się o 180 stopni i ulotnił, zupełnie wyczerpany, jakby był maratońskim posłańcem, który obwieszcza zwycięstwo Greków nad Persami, a potem pada nieżywy.

Camus pobladł na twarzy, przygryzł wargi i powiedział mi, nie patrząc w moją stronę: „Powinien był ją dostać Malraux”.

Tak, w 1957 roku André Malraux był bez wątplenia bardziej znany niż Camus, ale nie był tak dobrym pisarzem jak Camus, nie tak wyrazistym, poruszającym, prostym. U Malraux zawsze żenował mnie pewien podtekst dydaktyczny, którego nie było u Camusa. Camus pisze tak, jakby zdejmował koszulę, żeby pokazać swoje blizny.

Tamtego roku, 1957, Camus zwyciężył w wyścigu, w którym brali udział także Samuel Beckett, Boris Pasternak oraz Saint-John Perse. Nikt nigdy się jednak nie dowie, jakie było drugie zdanie wypowiedziane przez Camusa po „Powinien był ją dostać Malraux”. Ale Pan zasługuje na to, by je poznać. Odwrócił się do mnie i powiedział zwyczajne „merci”. Obaj dobrze wiedzieliśmy, do czego odnosiło się owo „merci”. Bez zdania „Dzisiaj umarła mama” Camus nie byłby Camusem, jego dzieło nie byłoby tym, czym jest, ani Nagroda Nobla w dziedzinie literatury nie powędrowałaby do niego tamtego roku pańskiego 1957... Dziś Obcy jest najczęściej kupowaną powieścią we współczesnej historii Francji.

Dlaczego mówię Panu te rzeczy, prosząc o zachowanie ich w absolutnej tajemnicy? Aby pokazać Panu, jak można zbudować całą karierę, a nie tylko jedną powieść, wychodząc od jednego zdania. Kim był Camus w 1942 roku, kiedy pojawił się Obcy? Cóż, był tylko prostą potencjalnością, czyli formą energii, która pedałowała w próżni. Zdanie, które mu podpowiedzieliśmy, pewnego dnia, w kawiarni w Algierze, właściwie zbudowało Camusa. I przyznaję, że Albert był absolutnie niezwykły, jak tylko otrzymał ten impuls, wszystko poszło jak z płatka, powie-

działbym, że wszystko, co napisał, pisało się samo. To pierwsze zdanie właściwie podyktowało Camusowi resztę, podyktowało mu dzieło za pomocą mechaniki, której nawet my nie potrafimy wyjaśnić. Warto zatrzymać się na sekundę także nad drugim zdaniem powieści, które nie jest nasze, lecz wyszło od Camusa. Czy pamięta Pan, jak rozwija się Obcy po tym dramatycznym początku: „Dzisiaj umarła mama”? Jeśli Pan nie pamięta, to Panu powiem. Po „Dzisiaj umarła mama” następuje „Albo wczoraj”.

Co za zdumiewająca konstrukcja, jakie współdziałanie dwóch sił!

MY: „Dzisiaj umarła mama”.

ON: „Albo wczoraj”.

Trudno wyobrazić sobie inne drugie zdanie, które byłoby bardziej pełne i niejednoznaczne niż to „Albo wczoraj”. Akcent pada na całą konstrukcję, z bardzo wysokim wskaźnikiem niepewności...

Tak, warto, bym wspomniał o Camusie. Właśnie dowiedziałem się, że Michel Onfray napisał książkę, w której dowodzi, że człowiek XX wieku to Camus (a nie Sartre czy Malraux). Całkowicie zgadzam się z Michelem. Cały XX wiek był, jeśli dobrze się zastanowić, osierocony. Osierocony z wartości, osierocony z cywilizacji, osierocony z ludzkości. Nazizm, komunizm, ostatnie wojny kolonialne, bestialstwo przeobrażone w przemysł, wszystko to stało się możliwe dzięki temu, że XIX wiek nie miał matki. Otóż, kto to zauważył w sposób prawy i metaforyczny? Camus... Co było dla niego tym objawieniem? Zdanie, które mu dostarczyliśmy...

Zostawiam Pana teraz. Nadal jestem w kawiarni Hawelka, ale jutro wyjeżdżam do Pragi.

Życzę Panu inspiracji, jeśli pisze Pan w tym momencie.

G.C.

PS. Do czasu naszej następnej wymiany epistoł zapraszam Pana do refleksji nad tymi czterema zdaniami:

„Jestem niewidzialny”.

„Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany”.

„Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”.

„Człowiekowi, który lubi podróżować pociągiem, znacznie łatwiej jest z niego wysiąść, jeśli obrał sobie za cel podróży stację terminus”.